

A photograph of a person's lower legs and feet. They are wearing a bright green, shiny, pleated dress and black, lace-up boots with multiple straps. They are standing on a stone step in a garden. The background shows a wooden fence and various green plants, including ferns and leafy herbs. The lighting is soft and natural, suggesting an outdoor setting.

DOM  
ORCHIDEI

LUCINDA RILEY

## *Syjam, wiele księżyców temu...*

Powiadają w Syjamie, że kiedy mężczyzna zakocha się w kobiecie — głęboko, namiętnie i nieodwołalnie — zrobi wszystko, by ją zatrzymać, zadowolić i sprawić, by ceniła go ponad wszystkich innych mężczyzn.

Dawno, dawno temu księżę Syjamu pokochał taką miłością kobietę niezwyklej urody. Zabiegał o nią tak długo, aż zdobył jej serce, jednak tuż przed ślubem, wielką uroczystością, w czasie której cały naród miał ucztować, tańczyć i radować się, księżę poczuł niepokój.

Wiedział, że musi dać dowód swej miłości; przypieczętować ją jakimś aktem heroizmu i mocy, który sprawi, że on i jego wybranka już zawsze będą razem.

Musiał znaleźć coś równie rzadkiego i niespotykanego jak kobieta, którą pokochał.

Długo się zastanawiał, aż w końcu wezwał do siebie trzech najbardziej oddanych i zaufanych służących i oto, co im powiedział:

— Słyszałem opowieści o Czarnej Orchidei, która rośnie wysoko w górach, na północy naszego królestwa. Chcę, abyście ją znaleźli i przynieśli do pałacu, tak bym w dniu ślubu mógł ją podarować mojej księżniczce. Ten, który pierwszy przyniesie mi orchidęę, otrzyma skarb, który uczyni go bogatym człowiekiem. Ci, którzy mnie zawiodą, nie dożyją dnia mojego ślubu.

Mężczyźni pokłonili się swemu panu, jednak w ich sercach zagościł strach. Wiedzieli bowiem, że patrzą w oczy śmierci.

Czarna Orchidea była mitycznym kwiatem. Legendą były również wysadzone klejnotami złote smoki zdobiące dzioby królewskich statków, które już wkrótce zabiorą ich księcia do świątyni, gdzie złoży śluby swojej księżniczce.

Tamtej nocy wszyscy trzej wrócili do domów, by pożegnać się ze swymi rodzinami. Jeden z nich, bystrzejszy od swoich towarzyszy, leżąc w ramionach zapłakanej żony, postanowił, że to nie on umrze.

Rankiem obmyślił plan. Udał się na pływający targ, gdzie sprzedawano przyprawy, jedwabie i... kwiaty.

Tam kupił przepiękną purpurowo-różową orchideę z ciemnymi aksamitnymi płatkami. Następnie zaczął wędrować wzdłuż wąskich kanałów Bangkoku. Szedł tak długo, aż znalazł Skrybę. Starzec siedział pośród zwojów w ciemnej, wilgotnej pracowni na tyłach sklepu.

Służący znał go, gdyż dawno temu Skryba pracował w pałacu. Król uznał jednak, że jego pismo jest niedoskonałe, i odesłał starca.

— *Sawadee krup*, Skrybo. — Po tych słowach służący położył orchideę na stole. — Mam dla ciebie zadanie, jeśli je wykonasz, dam ci bogactwa, o których ci się nie śniło.

Skryba, który po odejściu z pałacu ledwie wiązał koniec z końcem, spojrzał na służącego.

— A jakież to zadanie? — spytał zaciekawiony.

Służący wskazał na kwiat.

— Chcę, abys użył swoich umiejętności i zabarwił płatki tej orchidei na czarno.

Skryba zmarszczył czoło, spojrzał na służącego, a chwilę potem na kwiat.

— Tak, to możliwe. Pamiętaj jednak, że kiedy zakwitną kolejne kwiaty, nie będą one czarne, a ty zostaniesz zdemaskowany.

— Kiedy zakwitną kolejne kwiaty, ty i ja będziemy daleko stąd, żyjąc jak mój pan — odparł służący.

Skryba zastanowił się nad słowami mężczyzny i wolno pokiwał głową.

— Przyjdź tu o zmierzchu, a dostaniesz swoją Czarną Orchideę.

\*

Służący wrócił do domu i kazał żonie spakować ich skromny dobytek. Obiecał, że już niebawem będzie mogła kupić wszystko, o czym zamarzy, i że wybuduje dla niej przepiękny pałac.

O zmroku poszedł do sklepu Skryby i jęknął ze zachwytu, gdy zobaczył leżącą na stole Czarną Orchideę.

Nie wierząc własnym oczom, przyjrzał się płatkom i uznał, że starzec wykonał wspaniałą robotę.

— Już wyszła — wyjaśnił Skryba. — Atrament nie pozostawia śladu na palcach. Sprawdziłem to. Ty też spróbuj.

Służący dotknął płatków i z zadowoleniem stwierdził, że jego palce są czyste.

— Nie wiem jednak, jak długo to potrwa. Woda zawarta w roślinie w końcu nawilży płatki. Musisz też pamiętać, by nie wystawiać jej na deszcz.

— Jest wystarczająco piękna. — Służący pokiwał głową i wziął kwiat. — Natychmiast zaniosę ją do pałacu. O północy spotkamy się nad rzeką; wówczas dostaniesz obiecaną zapłatę.

\*

W noc ślubu, po radosnym dniu świętowania z poddanyimi, książę wszedł do prywatnych komnat, które dzielił ze swą małżonką.

Księżniczka stała na tarasie, spoglądając na rzekę Chao Phraya, w której wodach wciąż odbijały się kolorowe fajerwerki. Książę stanął u boku swej ukochanej.

— Miłości moja, mam dla ciebie coś równie pięknego i wyjątkowego jak twoja uroda.

Po tych słowach wręczył jej Czarną Orchideę w szczerzółtej doniczce wysadzanej klejnotami.

Księżniczka spojrzała na kwiat i czarne niczym noc aksamitne płatki. Ich nienaturalna czerń sprawiała, że kwiat wydawał się przykurczony i zwiędły.

Znała jednak wartość tego niezwykłego prezentu i doceniła starania małżonka.

— Mój książę, jest cudowna! Gdzie ją znalazłeś? — spytała.

— Przemierzyłem królestwo wszerz i wzdłuż. Nie ma drugiego takiego kwiatu, podobnie jak nie ma drugiej takiej jak ty. — Mówiąc to, spojrział na nią, a ona dostrzegła w jego oczach miłość.

Księżniczka delikatnie musnęła dłonią policzek męża z nadzieją, że ukochany wie, iż odwzajemnia ona jego uczucie.

— Dziękuję — szepnęła. — Jest taka piękna.

Książę ujął jej dłoń, a kiedy jeden po drugim całował jej palce, poczuł budzące się w nim pragnienie. Była to noc ich zaślubin; noc, na którą tak długo czekał. Wyjął orchideę z rąk ukochanej, postawił kwiat na tarasie, chwycił księżniczkę w ramiona i pocałował ją.

— Wejdzmy do środka, najdroższa — szepnął jej do ucha.

Księżniczka zostawiła Czarną Orchideę na tarasie i razem z ukochanym weszła do sypialni.

\*

Tuż przed świtem księżniczka wstała z łoża i wyszła na taras, by powitać pierwszy poranek ich wspólnego życia. Spoglądając w dół, dostrzegła płytkie kałuże — znak, że w nocy padał deszcz. Nowy dzień budził się do życia, choć słońce wciąż kryło się za drzewami po drugiej stronie rzeki.

Na tarasie stała purpurowo-żółta orchidea w wysadzonej klejnotami, szczerozłotej doniczce.

Księżniczka uśmiechnęła się i dotknęła jej płatków. Deszcz sprawił, że zdawały się czyste i świeże, a kwiat był dużo piękniejszy od tego, który ubiegłej nocy ofiarował jej książę. Stojąca wokół doniczki kałuża miała mętny, szarawy kolor.

Kiedy domyśliła się prawdy, podniosła kwiat i wdychając jego niebiański zapach, zaczęła się zastanawiać, czy lepiej powiedzieć prawdę i zranić ukochanego, czy może okłamać go i oszczędzić mu bólu?

Kilka minut później wróciła do sypialni i przytuliła się do męża.

— Mój książę — szepnęła, gdy się obudził. — Czarna Orchidea została skradziona w nocy.

Przerażony poderwał się z łoża, gotów wezwać strażników. Jednak księżniczka uspokoiła go swym uśmiechem.

— Nie, ukochany, wierzę, że została nam ofiarowana na tę

jedną, jedyną noc, kiedy byliśmy jednością, kiedy nasza miłość rozkwitła, a my staliśmy się częścią przyrody. I tak nie moglibyśmy zatrzymać czegoś tak magicznego wyłącznie dla siebie... a poza tym nawet tak cudowny kwiat zwiądłby i usechł... nie zniosłabym tego widoku. — Po tych słowach ujęła jego dłoń i ucałowała ją. — Uwierzmy w moc czarnej orchidei i żyjmy w przekonaniu, że jej piękno pobłogosławiło nas w pierwszym dniu naszego wspólnego życia.

Książę rozmyślał przez chwilę, a ponieważ kochał księżniczkę całym sercem i nie posiadał się ze szczęścia, że w końcu należy wyłącznie do niego, nie wezwał strażników.

Kiedy okazało się, że tamtej nocy księżniczka zaszła w ciążę, książę uwierzył, że legendarna Czarna Orchidea pobłogosławiła ich związek, jednak nie była im przeznaczona.

Dzień po książęcych zaślubinach biedny rybak siedział nad brzegiem rzeki Chao Phraya, kilkaset metrów od królewskiego pałacu. Jego wędka nie drgnęła od dwóch godzin i mężczyzna zastanawiał się, czy ryby nie przestraszyły się fajerwerków i czy nie uciekły na dno rzeki. Wiedział, że jeśli nic nie złowi i nie sprzeda, jego rodzina będzie głodna.

Kiedy wschodzące słońce położyło swe błogosławione promienie na powierzchni wody, rybak dostrzegł pływającą z prądem płataninę zielonych liści, a pośród niej coś lśniącego. Niewiele myśląc, zostawił wędkę i wszedł do wody. Chwilę później wyciągnął na brzeg pokryty wodorostami przedmiot.

Kiedy usunął wodorosty, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Trzymał w rękach doniczkę z czystego złota, wysadzaną brylantami, szmaragdami i rubinami.

Rybak natychmiast zapomniał o wędce, włożył doniczkę do koszyka i udał się na miejscowy jarmark, na którym handlowano klejnotami, wiedząc, że jego rodzina już nigdy nie zazna głodu.

# 1

## *Norfolk, Anglia*

*Każdej nocy śnię ten sam sen. Zupełnie jak gdyby ktoś wyrzucił moje życie w powietrze, a jego fragmenty spadały z powrotem na ziemię... tyłem na przód i do góry nogami. Jak gdyby ktoś poukładał moje życie w złej kolejności, a cały obraz rozpadł się na kawałki.*

*Ludzie mówią, że sny są ważne, że wyrażają coś, co przed sobą ukrywamy.*

*Ja niczego nie ukrywam, choć chciałabym, żeby było inaczej.*

*Kładę się spać, żeby zapomnieć. Żeby odnaleźć spokój, ponieważ za dnia żyję pośród wspomnień, rozpamiętując przeszłość.*

\*

*Nie jestem szalona, choć od jakiegoś czasu zastanawiam się, czym właściwie jest szaleństwo. Miliony ludzkich istnień, a każde z nich jest inne i wyjątkowe. Każde ma w sobie inne DNA i inne myśli, które decydują o tym, w jaki sposób postrzegamy świat. Każde ma inny światopogląd.*

*Doszłam do wniosku, że jedyne, co nas łączy, to nasze ciała; cielesna powłoka, z którą przychodzimy na świat. Wielokrotnie powtarzano mi, że każdy z nas inaczej reaguje na smutek i ból, i że każda z tych reakcji jest właściwa. Niektórzy ludzie płaczą miesiącami albo nawet latami. Ubierają się na czarno i okrywają żalobą. Inni przechodzą obojętnie obok straty. Skrywają uczucia i żyją tak jak do tej pory. Jak gdyby nic się nie stało.*

\*

*Nie jestem pewna, jaka była moja reakcja. Nie płakałam miesiącami. Prawdę mówiąc, niewiele płakałam.*

*Ale nie zapomniałam. I nie zapomnę do końca życia.*

*Słyszę na dole czyjeś kroki. Muszę wstać i udawać, że jestem gotowa, by przeżyć kolejny dzień.*

\*

Alicia Howard zaparkowała swojego land rovera na krawężniku. Wyłączyła silnik i pokonując niewielkie wzgórze, skierowała się w stronę chatki. Wiedziała, że frontowe drzwi będą otwarte, tak więc pchnęła je i weszła do środka.

Chwilę później stanęła w zaciemnionym pokoju i zadrżała. Podeszła do okien i rozsunęła zasłony. Poprawiła leżące na sofie miękkie poduchy, zabrała ze stolika trzy puste filizanki i wyniosła je do kuchni.

Otworzyła lodówkę i spojrzała na stojącą na drzwiach w połowie pustą butelkę mleka. Na półkach znalazła przeterminowany jogurt, kawałek masła i pomarszczony pomidor. Zamknęła lodówkę i zajrzała do pojemnika na chleb. Był pusty, tak jak się tego spodziewała. Usiadła przy stole i westchnęła. Pomyślała o swojej przytulnej, dobrze zaopatrzonej kuchni, smakowitym zapachu pieczenia, który wypełniał cały dom, i piskliwych, słodkich głosikach dzieci... sercu jej domu i życia.

Różnica między jej kuchnią a tym ponurym małym pomieszczeniem była uderzająca. Stanowiła swoisty obraz obecnego życia jej młodszej siostry: życie Julii, podobnie jak jej serce, zostało złamane.

Odgłosy kroków na skrzypiących drewnianych schodach kazały Alicji przygotować się na spotkanie. Podniosła wzrok, kiedy Julia stanęła w kuchennych drzwiach, i jak zawsze zaskoczyła ją uroda siostry; podczas gdy Alicia była blondynką o jasnej karnacji, Julia przywodziła na myśl egzotyczną piękność o jedwabście gładkiej śniadej skórze. Jej śliczną twarz okalała gęsta grzywa mahoniowych włosów, a fakt, że ostatnio straciła na wadze, jeszcze bardziej podkreślał jej migdałowe oczy koloru bursztynu



i wysokie kości policzkowe.

Julia była ubrana niestosownie do styczniowej pogody. Miała na sobie jeden z nielicznych swoich strojów: czerwoną kamizelkę bogato zdobioną kolorowymi nićmi i parę obszernych, czarnych bawełnianych spodni, które skutecznie maskowały jej chude nogi. Alicia niemal natychmiast zauważyła gęsią skórę na nagich ramionach siostry. Wstała od stołu i zamknęła milczącą siostrę w czułym uścisku.

— Kochanie — szepnęła — zmarzłaś. Powinnaś wyjść i kupić sobie coś ciepłego. A może chcesz, żebym przywiozła ci kilka swoich swetrów?

— Nic mi nie jest — odparła Julia, obojętnie wzduszając ramionami. — Kawy?

— Masz mało mleka; zajrzałam do lodówki.

— To nic, wypiję czarną. — Julia podeszła do zlewu, napełniła czajnik i włączyła go.

— Co u ciebie? — spytała Alicia.

— W porządku — odparła Julia, zdejmując z półki dwa kubki na kawę.

Alicia się skrzywiła. „W porządku” było szablonową odpowiedzią Julii. Udzielała jej za każdym razem, gdy chciała uniknąć dociekliwych pytań.

— Spotkałaś się z kimś w tym tygodniu?

— Nie, niezupełnie — rzuciła Julia.

— Kochanie, jesteś pewna, że nie chcesz pomieszkać z nami przez jakiś czas? Nie mogę znieść myśli, że jesteś tu zupełnie sama.

— Dzięki za troskę, ale powiedziałam już, że nic mi nie jest — odparła chłodno Julia.

Alicia westchnęła poirytowana.

— Julio, nie wyglądasz dobrze. Znowu schudłaś. Czy ty w ogóle coś jesz?

— Oczywiście, że jem. Nalać ci kawy czy nie?

— Nie, dzięki.

— Jak chcesz.

Julia schowała butelkę mleka z powrotem do lodówki. Kiedy się odwróciła, jej bursztynowe oczy błysnęły wściekle.

— Posłuchaj, wiem, że się martwisz. Ale naprawdę, Alicio,

nie jestem jednym z twoich dzieci i nie potrzebuję niańki. Lubię być sama.

— W porządku — rzuciła radośnie Alicia, próbując załagodzić rosnące napięcie. — Ale lepiej zarzuć coś na siebie. Wychodzimy.

— Mam na dziś inne plany — odparła Julia.

— Więc lepiej je odwołaj. Potrzebuję twojej pomocy.

— To znaczy?

— W przyszłym tygodniu są urodziny taty. Trzeba kupić mu prezent.

— I chcesz mi powiedzieć, że potrzebujesz mojej pomocy?

— To jego sześćdziesiąte piąte urodziny. W tym dniu przejdzie na emeryturę.

— Wiem o tym. To także mój ojciec.

Alicia robiła, co mogła, by zachować spokój.

— W południe, w Wharton Park, organizowana jest wyprzedaż. Pomyślałam, że mogłybyśmy tam wpaść i rozejrzeć się za czymś dla taty.

— Sprzedają Wharton Park? — Julia wydawała się zaintrygowana.

— Tak, nie wiedziałaś?

Julia przygarbiła się, jakby ktoś spuścił z niej całe powietrze.

— Nie, nie wiedziałam. Dlaczego to robią?

— Pewnie chodzi o to co zawsze: podatek spadkowy. Słyszałam, że obecny właściciel sprzedaje go jakiemś mieszcuchowi; podobno facet ma więcej pieniędzy niż rozumu. Żadna współczesna rodzina nie dałaby rady utrzymać takiej posiadłości. Poza tym ostatni lord Wharton zostawił ją w opłakanym stanie. Trzeba będzie fortuny, żeby ją odrestaurować.

— Jakie to smutne — szepnęła Julia.

— Wiem — przyznała Alicia, ucieszona, że coś jednak wzbudziło zainteresowanie siostry. — To była znaczna część naszego dzieciństwa, zwłaszcza twojego. Dlatego pomyślałam, że mogłybyśmy kupić coś na wyprzedaży, jakąś pamiątkę dla taty. Prawdopodobnie wystawią na aukcję same śmieci, a wszystko, co ma jakąś wartość, trafi do Sotheby's, ale nigdy nic nie wiadomo.

O dziwo, Julia nie potrzebowała dalszej zachęty i ochoczo skinęła głową.

— W porządku — rzuciła. — Wezmę tylko kurtkę.

Pięć minut później Alicia wyjechała na wąską główną ulicę uroczej nadbrzeżnej wioski Blakeney. Skręciła w lewo, kierując się na wschód, skąd już tylko kwadrans dzielił ją od Wharton Park.

— Wharton Park... — mruknęła pod nosem Julia.

\*

Ze wszystkich wspomnień z dzieciństwa najbardziej żywe były chwile, gdy odwiedzała dziadka Billa w jego szklarni. Zapamiętała przytłaczający zapach egzotycznych kwiatów, jego cierpliwość, gdy opowiadał o wyjątkowych roślinach i miejscach, z których pochodziły. Jego ojciec i dziadek pracowali w ogrodach rodziny Crawford, właścicieli Wharton Park, rozległego majątku ziemskiego o powierzchni czterystu hektarów urodzajnej gleby.

Jej dziadkowie mieszkali w przytulnej chatce, w tętniącym życiem zakątku Wharton Park, podobnie jak inni pracownicy majątku: ludzie, którzy dbali o ziemię, dom i rodzinę Crawfordów. To tam przyszła na świat i wychowywała się matka Julii i Alicii, Jasmine.

Ich babka Elsie była wymarzoną babcią, nawet jeśli bywała ekscentryczna. Jej ramiona były zawsze otwarte, a kolacje, które gotowała wieczorami na kuchennym piecu, smakowały wybornie.

Za każdym razem, gdy wracała myślami do chwil spędzonych w Wharton Park, Julia widziała błękitne niebo i soczyste kolory kwiatów rozkwitających w letnim słońcu. Niegdyś Wharton Park słynął z kolekcji orchidei. Aż dziw pomyśleć, że te pochodzące z tropików małe krusze kwiaty tak wspaniale czuły się na chłodnej północnej półkuli, pośród równin Norfolk.

\*

Jako dziecko Julia czekała cały rok, by latem odwiedzić Wharton Park. Spokój i ciepło szklarni — wybudowanych w zakątku ogrodu warzywnego i osłoniętych przed okrutnymi wiatrami, które wiały zimą od Morza Północnego — pozostawały w jej pamięci przez cały rok. To właśnie one i rodzinna atmosfera domu dziadków sprawiły, że odnalazła w tym miejscu spokój. W Wharton Park nic się nie zmieniało. Nie było tam budzików

ani rozkładów zajęć; ludzie żyli zgodnie z naturą.

Pamiętała stojące w kącie szklarni stare dziadkowe radio, które od świtu do zmierzchu nadawało muzykę klasyczną.

„Kwiaty kochają muzykę”, powtarzał dziadek Bill, pielęgnując swe cenne rośliny. Julia siedziała na taborecie obok radia i słuchając muzyki, przyglądała się dziadkowi. Uczyła się gry na pianinie i miała do tego wrodzony talent. W domu, w małym pokoju gościnnym, stało wiekowe pianino. Często po kolacji proszono ją, by zagrała. Pamiętała pełne podziwu spojrzenia dziadków, kiedy jej delikatne palce tańczyły na klawiszach.

— To dar od Boga, Julio — powiedział pewnej nocy dziadek Bill. Uśmiechnął się, choć oczy zaszyły mu łzami. — Nie zmarnuj go, dobrze?

\*

W dniu jedenastych urodzin dostała od dziadka Billa swoją własną orchideę.

— Wyhodowałem ją specjalnie dla ciebie, Julio. Nazywa się *Aerides odoratum*, czyli Dzieci Powietrza.

Julia spoglądała na aksamitne w dotyku delikatne białoróżowe płatki.

— Skąd ona pochodzi, dziadku? — spytała.

— Z Dalekiego Wschodu. Z dżungli Chiang Mai na północy Tajlandii.

— Och, a jak myślisz, jaką lubi muzykę?

— Wydaje mi się, że ma szczególną słabość do Mozarta — odparł, chichocząc, dziadek Bill. — A jeśli zobaczysz, że wędnie, możesz spróbować Chopina.

\*

Siedząc w salonie pełnego przeciągów wiktoriańskiego domu na przedmieściach Norwich, Julia pielęgnowała zarówno orchideę, jak i zamiłowanie do gry na pianinie. Grała roślinie, która odwdzięczała się jej, wypuszczając kolejne pąki.

Marzyła też o egzotycznym miejscu, z którego pochodziła orchidea. Zatopiona w marzeniach, wymykała się z podmiejskiego salonu i przenosiła do rozległych dżungli Dalekiego Wschodu...

słuchała gekonów, ptaków i wdychała odurzający zapach orchidei, które rosły zarówno na drzewach, jak i w leśnym podszyciu.

Wiedziała, że pewnego dnia zobaczy to wszystko na własne oczy. Tymczasem barwne opowieści dziadka o dalekich, egzotycznych krainach rozpały jej wyobraźnię i rozniecały zapał do gry.

Dziadek umarł, kiedy miała czternaście lat. Julia doskonale pamiętała wszechogarniające poczucie straty. On i jego szklarnie były jedyną pewną rzeczą w jej młodym, ale jakże trudnym życiu. Dziadek Bill był mądrym człowiekiem i potrafił słuchać. Traktowała go jak ojca. Mając osiemnaście lat, wygrała stypendium w londyńskim Royal College of Music. Babcia Elsie przeprowadziła się do Southwold, by zamieszkać ze swoją siostrą, a Julia przestała odwiedzać Wharton Park.

\*

Teraz wracała do majątku jako trzydziestojednoletnia kobieta. Podczas gdy Alicia nie przestawała paplać o czwórce swoich dzieci, Julia poczuła to samo zniecierpliwienie, które odczuwała w samochodzie rodziców, kiedy wyglądała przez tylną szybę z nadzieją, że lada chwila, za kolejnym znajomym zakrętem, zobaczy masywną bramę wjazdową do Wharton Park.

— Tam jest zjazd! — pisnęła, widząc, że Alicia zamierza go przejechać.

— Chryste, masz rację. Nie byliśmy tu od tak dawna, że prawie zapomniałam.

Wjeżdżając na podjazd, Alicia zerknęła na siostrę. Oczy Julii zdradzały gorączkowe wyczekiwanie.

— Uwielbiałaś to miejsce, prawda? — spytała łagodnie.

— Tak, a ty nie?

— Szczerze mówiąc, nudziłam się tu. Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do miasta i spotkam się z przyjaciółmi.

— Zawsze lepiej czułaś się w mieście — rzuciła Julia.

— Tak i zobacz, jak skończyłam: mam trzydzieści cztery lata, wiejski dom na odludziu, gromadę dzieci, trzy koty, dwa psy i kuchenny sprzęt firmy Aga. Gdzie, do cholery, podziały się światła wielkiego miasta? — W jej głosie słychać było ironię.

— Zakochałaś się i założyłaś rodzinę.  
— Za to ty zakosztowałaś wielkomięjskiego życia — zauważyła bez złośliwości Alicia.  
— Tak, raz... — Julia urwała, kiedy wjechały na podjazd. — Oto i on. Wygląda zupełnie tak samo.  
Alicia zerknęła na okazały budynek.  
— Moim zdaniem prezentuje się jeszcze lepiej. Zapomniałam już, jaki jest piękny.  
— Ja nigdy nie zapomniałam — szepnęła Julia.

Zatopione we własnych myślach minęły powoli sznur samochodów. Wharton Park zbudowano w klasycznym georgiańskim stylu dla bratanka pierwszego premiera Wielkiej Brytanii. Nieszczęśnik zmarł jednak, zanim dom został ukończony. W ciągu trzystu lat kamień z Aislaby, z którego niemal w całości go zbudowano, nabrał delikatnego żółtawego odcienia.

Siedem przesł i podwójne schody, które wznosiły się od piwnicy aż do *piano nobile*\*, tworząc taras z widokiem na park, dodawały posiadłości francuskiego splendoru. Stojące w rogach budynku, nakryte kopułami wieżyczki, rozległy portyk wspierany przez cztery potężne jońskie kolumny i stojąca na szczycie niszcząca statua Britannii, miały w sobie coś majestatycznego i ekscentrycznego zarazem.

Wharton Park nie był wystarczająco duży, by zasługiwać na miano pałacu. Jego architektura również była daleka od ideału, a dziwaczne elementy dodawane przez późniejsze pokolenia Crawfordów narażały na szwank jego czystość. Z tego też powodu budynek nie miał w sobie onieśmielającej surowości charakterystycznej dla innych wielkich budowli z tamtego okresu.

— W tym miejscu skręcaliśmy w lewo — rzuciła Julia. Nawet po tylu latach pamiętała drogę, która biegła tuż obok jeziora i prowadziła do domu dziadków na skraju majątku.

— Może po aukcji tam pójdziemy? — zaproponowała Alicia.

— Możemy iść, czemu nie. — Julia wzruszyła ramionami.

Ubrani na żółto stewardzi kierowali nadjeżdżające samochody

---

\* *Piano nobile* — główne piętro budynku mieszkalnego. Termin wywodzi się z włoskiej architektury renesansowej.

do miejsc parkingowych.

— Najwyraźniej nie my jedne dowiedziałyśmy się o wyprzedaży — skomentowała Alicia, parkując na wskazanym miejscu. Po tych słowach odwróciła się do siostry i dotknęła ręką jej kolana. — Gotowa? — spytała.

Julia poczuła się oszołomiona i przytłoczona natłokiem wspomnień. Kiedy wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę budynku, wszystko wydawało się jej znajome, nawet zapachy. Powietrze pachniało świeżo skoszoną, wilgotną trawą. Julia poczuła też inny zapach, delikatną woń jaśminu, którego krzewy wyznaczały granice trawnika. Chwilę później obie siostry podążyły za tłumem ludzi i niespiesznie wspięły się po schodach prowadzących do głównego wejścia.

## 2

*Znów mam jedenaście lat. Stoję w ogromnym pokoju, który tak naprawdę jest holem wejściowym, ale dla mnie wygląda jak katedra. Sklepienie wznosi się wysoko ponad moją głowę, a kiedy spoglądam w górę, widzę chmury i nagie postaci pulchnych aniołków. Wpatruję się w nie jak urzeczona; nie zauważam nawet osoby, która obserwuje mnie ze schodów.*

*— Może w czymś pomóc, panienko?*

*Jestem tak zaskoczona, że prawie wypuszczam z rąk cenną doniczkę, a to przecież z jej powodu jestem tu, w tym cudownym miejscu. Dziadek posłał mnie, żebym wręczyła ją lady Crawford. Nie cieszy mnie to, ponieważ boję się jej. Kiedy widziałam ją z daleka, wydawała się stara, chuda i zła. Ale dziadek Bill nie chciał słuchać wymówek.*

*— Jest bardzo smutna, Julio. Może orchidea poprawi jej nastrój. A teraz bądź dobrą dziewczynką i idź już.*

*Osoba na schodach to z pewnością nie lady Crawford. To młody chłopak. Wygląda na cztery, pięć lat starszego ode mnie, a jego gęste, kręcone kasztanowe włosy są zbyt długie jak na chłopca. Jest bardzo wysoki, choć przeraźliwie chudy; jego ramiona przypominają patyki wystające z podwiniętych rękawów koszuli.*

*— Szukam lady Crawford. Przyniosłam jej to, ze szklarni — bąkam nieśmiało.*

*Chłopak powoli pokonuje resztę schodów i wyciągając ręce, staje tuż obok.*



— *Jeśli chcesz, sam jej zaniosę.*  
— *Dziadek powiedział, że mam to oddać osobiście* —  
*odpowiadam zdenerwowana.*

— *Niestety w tej chwili odpoczywa. Nie czuje się najlepiej.*

— *Nie wiedziałam.*

*Chcę zapytać, kim właściwie jest, ale nie mam śmiałości. Mam wrażenie, że chłopak potrafi czytać w moich myślach, bo zaraz potem mówi:*

— *Lady Crawford to moja ciotka, więc chyba możesz mi zaufać, prawda?*

— *Tak, proszę.* — *Podaję mu orchideę i cieszę się w duchu, że nie będę musiała przekazywać jej osobiście.* — *Czy mógłbyś powiedzieć lady Crawford, że mój dziadek mówi, że to nowa...*

— *szukam w głowie właściwego słowa* — *...hybryda, która niedawno zakwitła?*

— *Dobrze, przekażę jej.*

*Stoję nadal, nie wiedząc, jak się zachować. On także.*

*W końcu pyta:*

— *Jak masz na imię?*

— *Julia Forrester. Jestem wnuczką pana Stafforda.*

*Słyszając to, unosi brwi.*

— *Ja nazywam się Christopher Crawford, dla przyjaciół Kit.*

*Wyciąga wolną rękę i wymieniamy uścisk dłoni.*

— *Miło cię poznać, Julio. Słyszałem, że świetnie grasz na pianinie.*

*Rumienię się.*

— *Nie sądzę* — *odpowiadam.*

— *Nie bądź taka skromna* — *karci mnie.* — *Słyszałem, jak kucharka i twoja babcia rozmawiały o tobie dziś rano. Chodź za mną.*

*Wciąż potrząsa moją ręką i ciągnie mnie za sobą. Przecinamy hol i mijamy kolejne pokoje pełne eleganckich mebli, które sprawiają, że dom wygląda jak naturalnych rozmiarów domek dla lalek. Zastanawiam się, gdzie siedzą wieczorami i oglądają telewizję. W końcu wchodzimy do pokoju skapanego w złocistym świetle, które wpada przez trzy wysokie okna z widokiem na taras prowadzący do ogrodów. Są tu trzy masywne sofy ustawione*

wokół wielkiego marmurowego kominka, a w odległym kącie przy jednym z okien stoi fortepian. Kit Crawford prowadzi mnie do niego, wysuwa taboret i zmusza, żebym usiadła.

— No śmiało. Posłuchajmy, jak grasz.

Podnosi pokrywę, posyłając w powietrze drobinki kurzu, które przez chwilę wirują w popołudniowym słońcu.

— Jesteś... jesteś pewien, że mogę? — pytam.

— Ciocia Crawford śpi w drugiej części domu. Na pewno nie usłyszysz. No dalej, zagraj coś! — Patrzy na mnie wyczekująco.

Niepewnie muskam palcami klawisze. Są inne; w niczym nie przypominają tych, których dotykałam do tej pory. Jeszcze tego nie wiem, ale wykonano je z najprzedniejszej kości słoniowej, a fortepian, na którym gram, to liczący sto pięćdziesiąt lat bechstein. Delikatnie wystukuję pierwszą nutę. Jej echo rezonuje między strunami, wzmacniając dźwięk.

Kit krzyżuje ramiona. Czeka. Nagle dociera do mnie, że nie mam wyboru. Zaczynam grać Clair de Lune, mój ulubiony utwór, któremu poświęciłam długie godziny ćwiczeń. Kiedy nuty pod moimi palcami nabierają życia, zapominam o Kicie. Daję się ponieść wspaniałym dźwiękom, jakie wydobywa z siebie instrument. Uciekam — jak zawsze — do innego miejsca, daleko, daleko stąd. Słońce całuje moje palce i ogrzewa twarz. Gram tak dobrze jak nigdy dotąd i jestem zaskoczona, gdy palce po raz ostatni dotykają klawiszy, a utwór dobiega końca.

Gdzieś w tle słyszę oklaski i zmuszam się, by powrócić do przestronnego pokoju i Kita, który stoi obok i patrzy na mnie z podziwem.

— Wow! To było niesamowite!

— Dziękuję.

— Jesteś taka młoda. Masz takie małe palce, jak to możliwe, że tak szybko biegną po klawiaturze?

— Nie wiem, po prostu... to robią.

— Wiesz, że mąż cioci, Harry, lord Crawford, był uznanym pianistą?

— Nie... nie miałam pojęcia.

— Cóż, to prawda. To był jego fortepian. Umarł, kiedy byłem dzieckiem, więc nigdy nie słyszałem, jak grał. Możesz zagrać coś

innego?

*Tym razem wydaje się szczerze rozentuzjasmowany.*

— *Ja... chyba powinnam już iść.*

— *Tylko jeden utwór, proszę!*

— *Dobrze — zgadzam się.*

*Chwilę później zaczynam grać Rapsodię na temat Paganiniego i po raz kolejny zatracam się w muzyce. Jestem w połowie utworu, kiedy słyszę czyjś krzyk.*

— *DOŚĆ! Natychmiast przestań!*

*Robię, co każe głos, i spoglądam w stronę drzwi. Na progu stoi wysoka, chuda kobieta o siwych włosach. Sądząc po wyrazie jej twarzy, jest bardzo zagniewana. Czuję w piersi oszalałe bicie serca.*

*Kit podchodzi do kobiety.*

— *Wybacz, ciociu Crawford, to ja poprosiłem Julię, żeby zagrała. Spałaś, więc nie mogłem zapytać cię o pozwolenie. Obudziliśmy cię?*

*Kobieta wbija w niego spojrzenie zimnych oczu.*

— *Nie. Nie obudziliście mnie. Ale nie w tym rzecz, Kit. Z pewnością wiesz, że zabraniam komukolwiek grać na tym fortepianie.*

— *Przepraszam, ciociu Crawford. Nie wiedziałem. Ale Julia jest taka cudowna. Ma dopiero jedenaście lat, a gra jak wytrawna pianistka.*

— *Dość! — powtarza stanowczo lady Crawford.*

*Kit zwiesza głowę i daje mi znak, żebym razem z nim wyszła z salonu.*

— *Jeszcze raz przepraszam — bąka, kiedy przemykam za jego plecami.*

*Kiedy mijam lady Crawford, kobieta zatrzymuje mnie.*

— *Jesteś wnuczką Stafforda? — pyta.*

*Spojrzenie jej zimnych niebieskich oczu zdaje się przewiercać mnie na wylot.*

— *Tak, lady Crawford.*

*Jej wzrok łagodnieje i patrząc na nią, mam wrażenie, że zaraz się rozplacze. Ale ona tylko kiwa głową i przez chwilę szuka odpowiednich słów.*